

PROBLEMY Z SOJUSZNIKAMI

W znanym filmie Kazimierza Kutza pt. *Pułkownik Kwiatkowski* jest scena, w której tytułowy bohater – z zawodu lekarz ginekolog – zgłasza swemu przełożonemu – oficerowi LWP, że chciałby zostać zwolniony z pełnienia dotychczasowych obowiązków lekarza wojskowego. Chęć odejścia ze służby uzasadnia tym, że jako specjalista ginekolog bardziej niż armii przydałby się setkom zgwałconych kobiet. Nie wspomina jednak nawet słowem o sprawcach wymienionych gwałtów. Mimo to wypowiedź Kwiatkowskiego przełożony odbiera jako aż nazbyt czytelną sugestię na temat zachowania żołnierzy sojuszniczej armii i wzburzony krzyczy, że przecież „Armia Czerwona nie gwałci!”.

Opisana scena symbolizuje istniejącą przez kilkadziesiąt lat w powojennej Polsce dychotomię. Obok lansowanego przez propagandę, wyidealizowanego wizerunku żołnierzy Armii Czerwonej – szlachetnych wyzwolicieli, wiernych sojuszników i serdecznych przyjaciół – funkcjonował też diametralnie inny obraz przechowywany w zbiorowej pamięci społeczeństwa. Składały się nań: mordy, gwałty, rabunki i rozboje dokonywane przez ludzi w sowieckich mundurach. Ta ponura wiedza oficjalnie nie istniała, ponieważ w żaden sposób nie przystawała do obowiązującej w PRL wizji historii najnowszej i roli, jaką ówczesna ideologia wyznaczyła w niej Armii Czerwonej. Tymczasem wizerunek wyłaniający się z pamięci „zwykłych obywateli” daleki był od tego, co pokazywano w emitowanych w telewizji archiwalnych kronikach i filmach fabularnych, w których sowieccy żołnierze brali na ręce polskie dzieci lub czule przytulali do siebie uśmiechnięte dziewczęta, witające ich naręczami polnych kwiatów. Trudno zaprzeczyć, że takie sceny rzeczywiście miały miejsce, jednak często „wyzwolenie” wyglądało zupełnie inaczej. Dla cywilnej ludności danego regionu kraju wiązało się ono z upokorzeniem i krzywdami zadawanymi przez tych, którzy mieli przynieść jej spokój i wolność.

Zwycięzcom wolno

Dotykało to zwłaszcza społeczności zamieszkujące tereny przedwojennego pogranicza polsko-niemieckiego, które po wybuchu wojny zostały wcielone do Rzeszy, oraz przynajmniej części do polskości autochtonów z obszarów, które do września 1939 r. leżały w granicach Niemiec. Ich ludność, że wymienimy chociażby Pomorzan, Kaszubów, Mazurów czy Ślązaków, uważana była często przez wkraczające sowieckie wojska za Niemców, a więc śmiertelnych wrogów, którym w pojęciu przeciętnego, karmionego frontową propagandą „krasnoarmiejca” należała się stosowna zapłata za zbrodnie popełnione przez Wehrmacht i SS na obywatelach ZSRS. Odpowiednio ukierunkowani prości żołnierze nie roztrząsali zawziętości przynależności narodowej mieszkańców zdobywanych regionów ani ich rzeczywistej tożsamości kulturowej. Działali według zasady „oko za oko” i szli dalej. Dla ofiar, które przeżyły tę swoistą egzekucję prawa Hammurabiego, koszmar pierwszych dni „wyzwolenia” dopełnił dramat kolejnych tygodni i miesięcy roku 1945 – samowola i rozpasanie żołnierzy jednostek tyłowych, formacji NKWD, band maruderów i dezerterskich, wreszcie – zwłaszcza już po zakończeniu wojny – żołnierzy różnorodnych oddziałów wycofywanych z Niemiec do ZSRS, prze-

jazdem bawiących w danej okolicy. Poczucie tymczasowości w połączeniu z przekonaniem, że zwycięzcom wszystko wolno, zachęcały stacjonujących w Polsce i przemieszczających się przez jej terytorium żołnierzy do nieskrępowanych działań, dla których nie sposób często znaleźć określenia innego niż „przestępcze”. Postępowanie „sojuszników” nieodwracalnie napiętnowało niejedną osobę, rodzinę czy wreszcie całe lokalne społeczności. Utrudniało także tworzenie i prawidłowe funkcjonowanie w danym regionie struktur polskiej administracji.

Oziębienie przyjaźni

Zasygnalizowane powyżej zjawiska w znacznym stopniu dotknęły obszary, które zimą i wiosną 1945 r. znalazły się w granicach odbudowywanego w nowych warunkach województwa śląskiego. Z zachowanych dokumentów archiwalnych wytworzonych przez administrację lokalną różnego szczebla, Urząd Wojewódzki Śląski w Katowicach, a także z raportów sporządzanych przez organa milicji i bezpieczeństwa, wynika, że zachowanie żołnierzy Armii Czerwonej było jednym z głównych czynników wpływających na stan bezpieczeństwa oraz ogólną sytuację w województwie katowickim w 1945 roku. W wymienionych dokumentach regularnie powtarzały się informacje takie jak cytowana poniżej, pochodząca ze sprawozdania sytuacyjnego Urzędu Wojewódzkiego Śląskiego w Katowicach za czerwiec, a mówiąca o tym, że „gorąca przyjaźń i sympatia ludności polskiej do Armii Czerwonej [...] ulega znacznemu oziębieniu. Przyczyną tego są rabunki i gwałty band w mundurach Armii Czerwonej”. Z kolei w sprawozdaniu sytuacyjnym za grudzień stwierdzano, że „stosunek ludności do Armii Czerwonej jest nadal nieprzychylny z powodu licznych przestępstw popełnionych przez żołnierzy sowieckich, wobec których społeczeństwo jest prawie bezbronne”. Pod sformułowaniem „liczne przestępstwa” krył się szeroki wachlarz zachowań i działań, które „sojusznicy” bez większego skrępowania stosowali nie tylko wobec cywilnej ludności, ale także wobec polskich stróżów prawa i porządku oraz przedstawicieli lokalnych władz i instytucji użyteczności publicznej.

Czołgiem na rabunek

Oto garść przykładów. Milicjantowi wystanemu przez władze gminy Łubice jako goniec do Starostwa Powiatowego w Gliwicach żołnierze sowieccy odebrali rower, buty i drobiazgi osobiste. Jeszcze mniej szczęścia mieli sołtys wsi Nieborowice i kierownik tamtejszej szkoły, których „wyzwolono” z całego dobytku. W Szywałdzie ofiarami rabunku zostały dzieci udające się do szkoły. Sowieccy dezertery zabrali im wierzchnią odzież. Niejednokrotnie napady rabunkowe przybierały formę zorganizowanych wypadów kilkunasto- lub kilkudziesięcioosobowych oddziałów zbrojnych. Na „akcje” udawano się ciężarówkami, a nawet czołgami. Łup w postaci żywego inwentarza, sprzętów domowych, odzieży, obuwia, słowem „wszystkiego, co im pod rękę popadnie” ładowano „na pakę” lub pancierz i wywożono „w nieznanym kierunku”.

Napady były często przemyślnie zaplanowane, a ich uczestnicy wykazywali się swoistą fantazją i znajomością wojskowej taktyki. Na daną miejscowość czy osadę wykonywano pozorowany „atak”. Ściągał on zaalarmowaną przez cywilów milicję i stacjonujące w okolicy polskie wojsko. W tym czasie jedna z radzieckich grup dokonywała faktycznych rabunków i rozbojów, tyle że w innej upatrzonej wcześniej miejscowości. Zanim milicjanci i żołnierze przybyli na właściwe miejsce zdarzenia, po sprawcach nie było już śladu. Zdarzało się, że podczas „rajdów” strzelano do przypadkowo napotkanych osób. Mieszkańcy miejscowości Draliny w powiecie lublinieckim jednego dnia w kwietniu 1945 r. zmuszeni byli przerwać prace polowe i pozostać w domach, ponieważ jeżdżący po okolicy żołnierze sowieccy urządzili strzelanie do bliżej nieokreślonego celu. Podobny wypadek zdarzył się

w maju w Tarnowicach Starych w powiecie tarnogórskim. Tym razem incydent skończył się tragicznie – od kul zginęła młoda kobieta.

Z kolei starosta kozielski raportował w maju 1945 r., że „niezdyscyplinowani żołnierze rosyjscy” z oddziałów przechodzących przez podległe mu miejscowości wpadali do przydrożnych domów i wynosili z nich „najpotrzebniejsze i często ostatnie przedmioty czy żywność”. Ofiary napaści były tak zastraszone i załamane, że „zupełnie nie reagowały i biernie poddawały się losowi”. Mieszkańcom położonych na obrzeżach kompleksów leśnych gmin powiatu lublinieckiego stale zagrażały ukrywające się tam grupy dezertarów. Zdesperowani ludzie całymi rodzinami opuszczali na noc swoje domy i koczowali do świtu pod gołym niebem w bezpiecznych miejscach. W ten sposób, za cenę wystawionych na splądrowanie domostw, niejeden ocalił zdrowie i życie.

Wyzwoliciele w Katowicach

Smutny los mieszkańców wiosek i osad dzieliły społeczności dużych ośrodków miejskich województwa. Zmorą katowiczian byli sowieccy kierowcy, którzy w ogóle nie przejmowali się jakimikolwiek zasadami ruchu drogowego, powodując w ten sposób liczne wypadki śmiertelne wśród przypadkowych przechodniów. Szczególnie złą sławą cieszył się katowicki dworzec kolejowy. Przepętnione podróżnymi perony i hala główna dworca były prawdziwym rajem dla przebranych w cywilną odzież żołnierzy dokonujących kradzieży i rozbojów. Ujętych na gorącym uczynku polscy milicjanci przekazywali sowieckim posterunkom i patrolom, lecz te zaraz po przejęciu puszczały ich wolno, tak że mogli oni nadal bezkarnie uprawiać swój proceder na ulicach, rynkach i w tramwajach. Zdarzało się, że wypuszczony złodziej odgrażał się milicjantom, a ci nie mogli mu nic zrobić, bo w obronie przestępcy stawali jego umundurowani i uzbrojeni koledzy.

Utrapieniem dla milicjantów z posterunku w Katowicach Bogucicach była grupa sowieckich oficerów i żołnierzy, która co noc brała czynny udział w pijatykach organizowanych przez Włochów przebywających w tamtejszym obozie przejściowym dla cudzoziemców. Każda z imprez kończyła się grubo po godzinie milicyjnej. Kiedy funkcjonariusze próbowali przywołać do porządku wałęsających się po ulicach podchmielonych mężczyzn i miejscowe prostytutki, Sowieci występowali w ich obronie, grożąc milicjantom bronią. Wytykali im przy tym, że nie pozwalają na zabawę wyzwolicielem, którzy ponieśli przecież tyle ofiar i krwi. Orgiastyczne imprezy trwały więc nadal, a tymczasem według milicyjnych statystyk aż 20 proc. kobiet w Bogucicach było nosicielkami chorób wenerycznych. Nie wiemy niestety, czy chodziło jedynie o środowisko tamtejszych prostitutek, czy całą kobiecą społeczność dzielnicy Katowic.

Nie ma godziny...

Podobne stresy jak koledzy z Katowic przeżywali milicjanci z Gliwic i okolic. W jednym z raportów dekadowych tamtejszej Komendy Powiatowej MO z sierpnia 1945 r. informowano, że rabunki, kradzieże i gwałty dokonywane przez Sowieców na terenie powiatu gliwickiego powtarzały się „z dnia na dzień” i nie „ma godziny, żeby nie było zajścia”. W ciągu miesiąca w samym mieście odnotowano 217 rabunków, z czego aż 187 dokonali żołnierze sowieccy. Między nimi a próbującymi ich schwycić milicjantami często dochodziło do wymiany ognia. Komendant gliwickiej MO podkreślał, że pomiędzy obiema stronami panowało „wielkie napięcie i nienawiść”, które mogły „przynieść nieobliczalne następstwa”. Taka sytuacja była także w innych rejonach województwa. Stąd też przedstawiciele administracji, milicji i UB zwracali się do odpowiednich sowieckich władz wojskowych o to, aby te ukróciły przestępczą działalność swoich podkomend-

nych. Nie zawsze się to jednak udawało. Od czasu do czasu dla uspokojenia miejscowej opinii publicznej sowieckie sądy wojskowe wydawały wprawdzie wyroki śmierci na sprawców przestępstw, lecz nie zatłubiło to sprawy. Można było odnieść wrażenie, że komendantury sowieckie nie panowały zupełnie nad tym, co się działo na podległych im terenach, lub świadomie rezygnowały z walki z licznymi przejawami patologii w szeregach Armii Czerwonej.

Gwałty

Ponurą wizytówką tej ostatniej były zwłaszcza gwałty. W województwie śląskim zjawisko to przybrało rozmiary prawdziwej klęski żywiołowej. Do końca czerwca 1945 r. w samej tylko Dębskiej Kuźni w powiecie opolskim zanotowano 268 przypadków gwałtów. Wysokie miejsce w statystykach zajmował również powiat pszczyński. Masowe gwałty kobiet i dziewcząt były jednym z głównych czynników skutecznie hamujących przez kilka miesięcy proces osadniczy w powiecie wielkostrzeleckim. Zdarzało się, że przestępcy w sowieckich mundurach organizowali istne obławy na kobiety. Pewnego marcowego dnia do przędzalni lnu położonej w jednej z miejscowości pod Raciborzem wtargnęło kilkunastu pijanych Rosjan. Napastnicy wprowadzili stamtąd około trzydziestu pracownic i zabrali je do pobliskiej wsi Makowo. Jak zeznała jedna z kobiet, „tam żołnierze zamknęli nas do jednego domu i pod groźbą zastrzelenia dopuścili się na nas gwałtu. Ja zgwałcona zostałam wtedy przez czterech żołnierzy”. Za równie traumatyczne uznać można przeżycia grupy kobiet zabranych przez Rosjan z różnych miejscowości województwa do kopania rowów strzeleckich w okolicach Głubczyc. Według jednej z nich nadzorujący tę pracę żołnierze „straszyli nas, że zabiorą nas do Rosji i komendant oddziału zabrał mnie kilkakrotnie do swego mieszkania, gdzie za każdym razem dopuścił się na mnie gwałtu. Ten sam los spotkał także moje towarzyszki, które udać się musiały do kwater poszczególnych żołnierzy, gdyż ci to rozkazali”. Mieszkanka Katowic powracająca w czerwcu 1945 r. z wizyty u rodziców w jednej z podkrakowskich wiosek zeznała, że kiedy pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacji i zapadła noc, „żołnierze rosyjscy zaczęli uganiać się za kobietami. Zostałam pochwycona przez trzech żołnierzy, którzy wszyscy dopuścili się na mnie gwałtu”.

Prawdziwy horror przeżyła ludność gromady Mechnica w powiecie kozielskim. W początku czerwca 1945 r. żołnierze sowieccy zabrali stamtąd trzynaście dziewcząt. Zaniepokojonym rodzicom nie udało się ustalić, dokąd wywieziono ich córki. Tymczasem w jakiś czas po wizycie „sojuszniczy” pojawili się znowu, domagając się tym razem wydania „jeszcze większej ilości dziewcząt”. Zachowywali się tak, jak gdyby chodziło o towar, i co ciekawe, ostatecznie dali się uprosić i zamiast kobiet wzięli ze sobą dużą ilość alkoholu. Ten swoisty terroryzm spodobał się wszakże jednemu z żołnierzy do tego stopnia, że pojawiał się w Mechnicy co drugi dzień, grożąc, że zabierze ze sobą kolejne dziewczęta, jeżeli mieszkańcy nie wydadzą mu wódki. Nie wiemy niestety, co stało się z trzynastoma zabranymi mieszkankami gromady.

Analizując informacje z zachowanych dokumentów, można dojść do wniosku, że w zasadzie nie było miejsc, gdzie kobiety mogłyby czuć się bezpiecznie. Te, które z wiosek i osad udawały się codziennie do pracy w oddalonych miejscowościach, gwałcono w przydrożnych rowach, na polach i w lasach, okradając je przy tym z osobistych rzeczy i bijąc, a czasem również mordując. Przypadkowe spotkanie z pojedynczym żołnierzem lub grupą wojskowych mogło skończyć się tragicznie: „pod koniec czerwca [...] miałyśmy zabawę szkolną i dlatego w tym dniu wracałam nieco później pociągiem [z Katowic – przyp. J.N.] do domu. [...] W drodze ze stacji w Tychach do domu około godziny 22 zatrzymali mnie w polu 3 żołnierze rosyjscy, którzy powalili mnie na ziemię. Jeden z nich zatrzymał mi ręką usta, żebym nie krzyczała, i dwóch z nich dopuściło się wtedy na mnie gwałtu”. Mieszkanka Kozłowej Góry w powiecie tarnogór-

skim została zgwałcona przez trzech żołnierzy. Rzucili się na nią w biały dzień na drodze, którą pchała wózek ze swoim trzyletnim dzieckiem. Przypadków, w których matki gwałcono na oczach dzieci, było o wiele więcej. Zdarzało się, że oprawcy bili zszokowane i przerażone widokiem niewolonych matek dzieci. Niekiedy bywało jeszcze gorzej, jak w jednej z miejscowości powiatu kozielskiego, gdzie trzyletnie dziecko zostało zgwałcone przez sowieckiego oficera.

Mogłoby się wydawać, że gdzie jak gdzie, ale na głównych ulicach dużych miast nikt przy zdrowych zmysłach nie rzuciłby się na przechodzącą kobietę. A jednak... W Katowicach, Zabrze czy Chorzowie ofiary wciągano prosto z ulicy do samochodów i wywożono w ustronne miejsca. Wielu z tych przestępstw dokonywano w biały dzień, podobnie jak opisanego poniżej: „16 czerwca [19]45 r. wracałam w towarzystwie koleżanki tramwajem z Bytomia do Katowic. Za Chorzowem tramwaj popsuł się i wraz z koleżanką udałam się w dalszą drogę pieszo w kierunku Katowic. Koło stadionu chorzowskiego zatrzymało nas czterech żołnierzy radzieckich będących w stanie pijanym. Żołnierze ci zmusili nas do udania się z nimi na pobliskie pola. Gdy się broniłam, zostałam uderzona jakimś twardym narzędziem w szczękę. Żołnierze powalili mnie na ziemię i dopuścili się na mnie gwałtu”.

Okoliczności wojenne

W przypadku autorki przytoczonej relacji, podobnie zresztą jak w przypadkach pozostałych kobiet, których wypowiedzi zacytowano powyżej, skutkiem gwałtu była ciąża. W takiej sytuacji kobiety miały trzy wyjścia: donosić ją i urodzić dziecko, dokonać nielegalnej aborcji lub zwrócić się o pomoc do Komisji Opieki nad Ofiarami Gwałtu działającej przy Oddziale Wojewódzkim Polskiego Czerwonego Krzyża w Katowicach. Nie wiemy i najprawdopodobniej nigdy nie dowiemy się, ile kobiet wybrało dwie pierwsze możliwości. W trzecim przypadku możemy opierać się jedynie na informacjach zawartych w dokumentach wytworzonych przez wymienioną komisję. Według nich od lipca do początku września 1945 r. organ ten rozpatrzył sprawę 102 kobiet będących w ciąży (od pierwszego do piątego miesiąca) powstałej w wyniku gwałtu. Część z nich była zamężna. W kilku przypadkach mężowie nie zdążyli jeszcze powrócić z wojennej tułaczki. Charakterystyczne, że aż w 100 przypadkach sprawcami gwałtów byli żołnierze sowieccy (w dwóch pozostałych żołnierz niemiecki i żołnierz amerykański). Jedyna pomoc, jaką ofiary mogły uzyskać od komisji, to umożliwienie im poddania się legalnemu zabiegowi aborcji. W dokumentach przygotowywanych dla prokuratury wpisywano eufemistycznie, że ciąża powstała „wskutek gwałtu w związku z okolicznościami wojennymi”. W papierach, poza zeznaniami ofiar, nigdzie nie podawano, że sprawcą byli żołnierze sowieccy. Zastępowano to mniej drażliwym sformułowaniem „nieznany osobnik”. Po pozytywnym rozpatrzeniu sprawy można było poddać się zabiegowi. Jego koszty ponosiła zazwyczaj opieka społeczna. Na tym kończyła się pomoc komisji. Pozornie problem przestawał istnieć, ale tylko pozornie. W rzeczywistości pozostawał – w psychice ofiary i świadomości ludzi. Chodziło przecież nie tylko o owe 102 kobiety, które zdecydowały się na legalne przerwanie ciąży. Ile było takich, które nie zaszły w ciążę i nigdy nikomu nie opowiedziały o tym, co je spotkało, żyjąc całymi latami ze skrywaną bolesną tajemnicą? Podobne pytania można by mnożyć. Trzeba jednak mieć świadomość, że społeczne i psychiczne skutki gwałtów wywołanych „okolicznościami wojennymi” odczuwane były przez długie lata, a w niektórych przypadkach trwają do dziś. Podobnie zresztą jak skutki pozostałych przestępstw i występków, z których ledwie niewielką część zasygnalizowano w niniejszym artykule. Chociaż dzisiaj niemożliwe jest ustalenie wszystkich zdarzeń i zestawienie pełnej listy ofiar sprzed lat, właśnie przez wzgląd na te ostatnie musimy przypominać fakty, o których informują nas co jakiś czas archiwalne dokumenty.